

**Prof. dr hab. JAN WOLEŃSKI**

Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania, Rzeszów

## GŁOS W DYSKUSJI

Odniosę się do problemów podniesionych w Sesji 2 (Kariera naukowa: doktorat, habilitacja, tytuł profesora) i Sesji 4 (Kariera naukowa: przyczyny kryzysu). Na początek dwie uwagi, które powtarzam po raz kolejny.

Po pierwsze, nie mamy całościowego konterfektu polskiego środowiska akademickiego. Nie wiemy więc, jak to jest u nas, chociaż większość polskich akademików uważa, że dzieje się nie najlepiej czy nawet bardzo źle (por. tytuł Sesji 4, który wręcz sugeruje kryzys). Nie wiemy też, czy u nas jest lepiej czy gorzej niż gdzie indziej w świecie. Jesteśmy skazani na bardzo fragmentaryczne dane i intuicje, oparte na kilku lub kilkunastu przykładach. To prawda, że w Polsce nie ma (jeszcze?) np. tzw. „spółdzielni cytowań”, jak w niektórych sąsiednich krajach, ale z kolei liczba wypadków tzw. „zamiatania plagiatów pod dywan” jest u nas przypuszczalnie znacznie większa niż np. w Niemczech. Socjologowie są gotowi przeprowadzić kompleksowe badania, dotyczące nauki i naukowców w Polsce, ale ciągle nie ma na to środków.

Po drugie, uważam, że struktura kadr naukowych pracujących w szkolnictwie wyższym jest wadliwa. Na pytanie: „Co trzeba zrobić, aby zostać profesorem w Polsce?”, Hugo Steinhaus odpowiadał: „Wystarczy czekać”. Fakt, że prędzej czy później otrzyma się tytuł profesorski lub przynajmniej stanowisko profesora uczelnianego, nie ruszając się z miejsca, w którym rozpoczęło się karierę, nie sprzyja mobilności naukowców. A to sprawia, że kadra nauczająca jest skoncentrowana w kilku jednostkach i nie zamierza się ruszać z ustalonych „domowych pieleszy”. Gdyby było inaczej, problem właściwej kadry w mniejszych uczelniach publicznych i prawie wszystkich prywatnych po prostu by nie istniał. Skończyłaby się pogoń za drugim etatem i rozmaite negatywne

zjawiska z tym związane. Można by usprawnić dydaktykę, bo obecnie każdy profesor czy doktor habilitowany chce mieć wykład kursowy lub przynajmniej monograficzny i seminarium, a w konsekwencji studenci mają do wyboru mnóstwo zajęć, niby konkurencyjnych, ale w rzeczywistości spełniających ambicje prowadzących, a niekoniecznie potrzebnych tym, których się naucza. Gdyby zracjonalizować zatrudnienie, automatycznie znalazłyby się środki na podwyżkę uposażeń. Trzeba przy tym powiedzieć, że część środowiska akademickiego jest zdecydowanie przeciwna zmianom i nie widzi nic złego w fakcie, że każdy nie tylko nosi profesorską buławę w plecaku, ale że w końcu ją wyjmie. Na zakończenie tej części rozważań przytoczę wręcz anegdotyczny przykład poszukiwania przez renomowany polski uniwersytet profesora logiki. Szukano dwa lata i sukces okazał się niezupełny: kandydat ciągle jest na drugim etapie.

Studia doktoranckie niewątpliwie sprawiły, że średni wiek uzyskania stopnia doktora obniżył się prawdopodobnie o dwa lata (lub nawet więcej), w porównaniu ze stanem rzeczy sprzed, powiedzmy, trzydziestu lat. To także spowodowało obniżenie średniego wieku sukcesu habilitacyjnego, ale już w mniejszym stopniu niż w przypadku doktoratów. Wiek profesorów (tytułarnych) ciągle jest podeszły, nie tylko w humanistyce. W rezultacie np. trudno jest znaleźć kandydatów do stanowisk w Polskiej Akademii Nauk, gdzie obowiązuje (i słusznie) zasada, że mogą je objąć osoby, które nie ukończyły siedemdziesiątego roku życia. Wszelako takich (czyli względnie młodych) akademików jest stosunkowo niewiele.

Z moich obserwacji wynika, że poziom doktoratów jest przyzwoity, a także przebieg obron nie budzi większych zastrzeżeń. Jeśli chodzi o habilitacje, nie będę wypowiadał się na temat ich merytorycznej wartości. Natomiast organizacja przewodów habilitacyjnych budzi poważne wątpliwości. Do Komitetu Etyki w Nauce Polskiej Akademii Nauk, któremu przewodniczę, od czasu do czasu napływają informacje o przypadkach wręcz skandalicznych. KEN PAN nie jest instancją orzekającą, ale tzw. komitetem problemowym. Nie możemy więc oficjalnie interweniować, o czym piszący do nas na ogół nie wiedzą. Niemniej jednak, zainteresowałem się kilkoma przypadkami i otrzymałem informacje bliżej naświetlające poszczególne sprawy. Dwie dotyczyły habilitantów, wychowanych w tym samym, stosunkowo niewielkim środowisku. Jedna osoba została „oblana” (jeszcze wedle tzw. starej procedury) mimo otrzymania pozytywnych recenzji i pozytywnego wniosku komisji, a druga niedopuszczona do procedury pod pretekstem, że otworzyła przewód na podstawie korekty książki habilitacyjnej, a potem dodała do dokumentów habilitacyjnych pracę już wydrukowaną. Jest rzeczą *a priori* mało prawdopodobną, aby dwie osoby, które obroniły doktoraty na tym samym wydziale, tak bardzo obniżyły loty, że po

kilku latach nie zasługiwały na habilitację. Jest publiczną tajemnicą w tymże środowisku, iż obie padły ofiarą konfliktu w łonie Rady Wydziału. Osoby te habilitacje uzyskały w innych jednostkach, jedna z nich za granicą.

Mam też inne negatywne doświadczenia związane z habilitacjami. Byłem recenzentem w przewodzie (też wedle starej procedury), w którym habilitant otrzymał dwie negatywne recenzje, a recenzenci również jego kolokwium ocenili negatywnie. Mimo to Rada Wydziału nadała stopień, jak zdaje się, z powodu sympatii do mistrza owego habilitanta. Ta sama Rada Wydziału (choć już w częściowo innym składzie) rozpatrywała negatywny wniosek komisji habilitacyjnej (sprawa toczyła się w nowym trybie). Głosowanie było negatywne, habilitant odwołał się i to samo gremium rozpatrywało poparcie odwołania do CK. Głosowanie było znowu negatywne. Habilitant zarzucił recenzentowi i autorowi negatywnej recenzji (dwie inne były pozytywne; nie wnikiem w meritum, a jedynie w kwestie formalne), że nie uwzględnił jego (habilitanta) dorobku, uzyskanego przed habilitacją. Faktycznie, recenzja, napisana niezwykle złośliwie, nie zawierała, aczkolwiek powinna, nawet wzmianki o dość pokaznym dorobku habilitanta (w związku z tym przewodniczący komisji winien był zwrócić recenzję do uzupełnienia). W uzasadnieniu decyzji komisji habilitacyjnej jako powód podano, że habilitant nie przejawiał wystarczającej aktywności naukowej (indeks Hirscha = 3 wg Web of Science, a więc całkiem spory, jak na humanistykę). Sekretarz komisji wyjaśnił, że „tak trzeba było napisać”, gdyż „jedna z recenzji była negatywna i ta przeważyła”. Rada Wydziału w ogóle nie zainteresowała się treścią odwołania, a w każdym razie nikt nie podniósł sprawy absurdalności uzasadnienia decyzji komisji.

Ta sprawa interesowała mnie z różnych powodów, m.in. dlatego, że habilitant jest moim współpracownikiem i podwładnym. Zadeklarowałem udział w posiedzeniu (pierwszym) Rady Wydziału (mam do tego prawo z innych powodów) i gotowość złożenia ewentualnych wyjaśnień. Zostałem surowo zgromiony, zarzucono mi, że mam jakiś specjalny interes w bronienu habilitanta. Dziekan napomknął nawet o łamaniu przeze mnie etyki pracownika naukowego; wyraził też zdziwienie, że tak znany profesor może coś takiego proponować. Tego samego dziekana zagadnąłem, jak ocenia (z moralnego punktu widzenia) siebie oraz gremium, którym kieruje, w związku z rozpatrywaniem wspomnianego odwołania, które prawdopodobnie nie zostało nawet przeczytane. Dowiedziałem się, że on i członkowie Rady Wydziału opierali się na stanowisku komisji. Zauważyłem, że to dziwne, ponieważ odwołanie dotyczyło tegoż właśnie stanowiska. I skoro już mowa o moralnym aspekcie opisywanej sprawy, chcę podnieść jeszcze jedną kwestię. Habilitant, o którym mowa, jest pracującym w Polsce Białorusinem. Mam i drugi przykład, miano-

wicie Ukrainka. Nie zdał kolokwium, przy czym jedna z recenzji była negatywna. Autor recenzji zadeklarował na samym jej początku, że nie zna się na problematyce pracy habilitacyjnej. Niemniej jednak, napisał krótką (bodaj trzy strony) recenzję. Niestosowność tego była odnotowana w trakcie dyskusji na Radzie Wydziału, która jednak nie przyjęła kolokwium. Nie to jest jednak istotne (przypominam, że nie kwestionuję ostatecznych decyzji). Zastanawiające jest natomiast, że w obu recenzjach (rozpraw obywateli Białorusi i Ukrainy), pojawiły się ironiczne uwagi (nie tylko recenzentów), że są niesprawni w zakresie języka polskiego, że powinni to poprawić, niech robią stopnie w swoich krajach. Nie mogę wykluczyć (wypowiadam się ostrożnie i hipotetycznie), że w negatywnych recenzjach prac habilitacyjnych pojawiają się postawy wręcz ksenofobiczne. Gdyby tak było, trzeba temu przeciwdziałać, zwłaszcza w sytuacji daleko idącej tolerancji dla habilitacji i profesur przeprowadzanych na niektórych uczelniach słowackich.

Znane są przypadki, że habilitanci wnioskuje o uczestniczenie w posiedzeniach komisji habilitacyjnych i możliwość polemiki z negatywnymi recenzjami. Przewodniczący komisji z reguły odmawiają. Wedle przepisów, habilitant może, ale nie musi, być proszony na spotkanie z komisją. Uważam, że sprawa powinna być wyraźnie uregulowana tak, aby spotkanie komisji z habilitantem było obowiązkowe (w wypadku jednej lub dwóch negatywnych recenzji) oraz opcjonalne (w wypadku jednomyślności, pozytywnej lub negatywnej). Inaczej komisja staje się swoistym sądem kapturowym. Z mojego doświadczenia wynika, że komisje, a zwłaszcza osoby im przewodniczące, są zainteresowane szybkim załatwianiem danej sprawy i być może dlatego niechętnie zgadzają się na udział habilitanta w posiedzeniach rozstrzygających o losie habilitacji. Uregulowania wymaga także kwestia wspomnianych stopni i tytułów naukowych, nadawanych na uczelniach słowackich (chodzi tylko o niektóre uczelnie w tym kraju). Ministerstwo tłumaczy się tym, że jest zobowiązane do ich uznawania na mocy umów międzynarodowych. Nie znam dokładnej treści tych postanowień, ale przypuszczam, że tłumaczenie nie jest całkowicie zasadne. Na pierwszy rzut oka każda decyzja administracyjna, wydana za granicą i prawnie skutkująca w Polsce, podlega kontroli, m.in. w ramach wznowienia postępowania w obliczu prawa polskiego. Jeśli kontroli takiej w odniesieniu do stopni i tytułów naukowych nie ma, to można i należy ją wprowadzić. Interwencji ustawodawcy wymaga też problem dodatkowych wymagań w przewodach habilitacyjnych (i profesorskich), wprowadzanych przez niektóre uczelnie. To jest delikatna sprawa, gdyż nie ma apriorycznego powodu do pozbawiania uczelni wpływu na jakość zatrudnianej kadry. Z drugiej jednak strony, dodatkowe warunki, bardziej zresztą właściwe w wypadku profesur niż habilitacji, nie mogą

całkowicie wywracać wymagań przewidzianych przez ustawę. Zbyt surowe wymagania mogą dostarczać motywacji do poszukiwania jednostek, w których uzyskanie habilitacji (czy profesury) jest łatwiejsze.

Wiele mówi się o niewłaściwych praktykach recenzowania. Chciałbym zwrócić uwagę na to, że recenzowanie stało się ostatnio zjawiskiem masowym, ze wszystkimi konsekwencjami tego stanu rzeczy, m.in. tym, że zwiększa się ilościowo (niekoniecznie procentowo) liczba recenzji grzecznościowych, niesolidnych itd. Tak jest zapewne na całym świecie. Godne uwagi jest to, że coraz częściej pojawia się wymóg, zwłaszcza przy recenzowaniu dla czasopism, aby recenzja była krótka, ale z wyraźną konkluzją. Niekiedy nie żąda się nawet uzasadnienia.

Instytucje przyznające fundusze na realizację konkretnych projektów badawczych zaczynają odgrywać coraz większą rolę i jest to tendencja ogólna, pozytywna, i nie ma sensu jej kwestionować. Jasne jest, że nie każdy wniosek jest skuteczny, tj. uzyskuje finansowanie. O ile dobrze pamiętam, tzw. skuteczność grantowych wniosków w Polsce wynosi kilkanaście procent. Nie znam danych z innych krajów, a więc trudno powiedzieć, czy jest większa, czy mniejsza niż za granicą. Jak łatwo się domyślić, instytucje finansujące badania, tj. Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, Narodowe Centrum Nauki i Narodowy Program Rozwoju Humanistyki, mają ograniczone fundusze, co wynika z ogólnej sytuacji finansowej nauki polskiej. Rywalizacja jest więc ostra, a to sprawia, że kwestia kryteriów przyznawania grantów jest ważna. Budzi też rozmaite emocje, zwłaszcza u tych, którym się nie powiodło.

Mam niejaki doświadczenia z NCN i NPRH. Sam należę do tych, których wniosek nie zyskał aprobaty w NCN, ale mam nadzieję, że moje dalsze uwagi nie są nadmiernie subiektywne, opierają się bowiem również na informacjach otrzymanych od innych osób. W związku z tym dalsze uwagi dotyczyć będą wyłącznie humanistyki. Od razu zwraca uwagę fakt, że zachodzi dysproporcja w przyznawaniu grantów w poszczególnych dziedzinach nauk humanistycznych (ze społecznymi włącznie). Najwięcej otrzymują historycy i filologowie. Uczestnicy dyskusji panelowych (w wyniku których przyznawane są granty) wiążą to ze składem stosownych gremiów, w których przeważają przedstawiciele wyżej wymienionych dyscyplin. Nieźle mają się też teologowie i projekty, by tak rzec, „okołoreligijne”. O ile dobrze pamiętam, w konkursie „Tradycja” znalazł uznanie tylko jeden projekt filozoficzny (wyszukanie wyników konkursu jest tak trudne, że szkoda na to czasu). Jako specjalista mogę powiedzieć, że niezbyt ważny, w porównaniu z innymi zgłoszonymi. To od razu budzi wątpliwości dotyczące sposobu oceniania. Zapytałem o to przedstawiciela Rady NPRH i otrzymałem informację, że oceny dokonywał specjalnie powołany

zespół i miał kilkanaście minut na każdy wniosek. „Cóż mieliśmy uczynić, skoro było nas tak mało?”. Tego nawet nie warto komentować, gdyż stopień lekceważenia wysiłków wnioskodawców jest wręcz porażający. Ponoć sposób oceniania zmienił się, czy też ma ulec zmianie. Jeśli nie, to, Panie i Panowie z Rady NPRH, proszę zająć się czymś innym, a nie decydowaniem o tym, co ma być w Polsce badane za publiczne pieniądze.

Jest tak, że decyzje w sprawie grantów NCN są podejmowane przez Dyrektora NCN na podstawie rekomendacji ze strony specjalnych zespołów ekspertów (opieram się na praktyce w tzw. konkursie „Maestro”). Oceny są formułowane w wyniku debat (z reguły dwóch), pierwszej – prowadzącej do oceny wstępnej, i kolejnej – zakończonej ostatecznym rankingiem. Zespół ekspertów korzysta z ekspertyz i recenzji. Dziwaczne jest to, że wnioski zespołu mogą być całkowicie odmienne od ocen recenzentów. Znaczący to, że opinie gremiów, składających się w większości z niespecjalistów w konkretnej dziedzinie, mogą zdezawuować oceny tych, którzy znają się na danej problematyce. Innym dziwactwem jest to, że Dyrektor NCN w ogóle nie ma kompetencji do kontrolowania poczynania zespołów ekspertów. Także Komisja Odwoławcza Rady NCN nie może rozważać merytorycznych zarzutów wobec rankingów ustalonych przez taki zespół. Znaczący to, że kilkanaście osób podejmuje ważną decyzję, która nie może zostać zakwestionowana merytorycznie. Jest to prawdziwy ewenement proceduralny, chyba w skali światowej.

Jest rzeczą całkowicie zrozumiałą, że nazwiska ekspertów i recenzentów są utajnione. NCN uznaje, że poufne są także pełne teksty recenzji i ekspertyz, przebieg dyskusji i materiały porównawcze. Założmy, że jakiś X zamierza odwołać się od decyzji Dyrektora NCN. Nie otrzyma np. wykazu publikacji swoich rywali, aczkolwiek nie są to materiały tajne, można je np. znaleźć w Internecie, przynajmniej w pewnym zakresie. Uzasadnienie decyzji, przekazywane zainteresowanej stronie, jest zwykle nader lakoniczne. Więcej szczegółów znajduje się w tzw. systemie OSF, dostępnym w Internecie. W znanym mi przypadku widać wyraźnie, że uwzględniono głównie te fragmenty recenzji, które zawierały zarzuty, natomiast w małym stopniu te, w których podkreślano tzw. mocne strony. Uzasadnienie zawiera liczbę mnogą: „Eksperci i Recenzenci”, aczkolwiek cytowana jest tylko jedna recenzja lub/i ekspertyza. W uzasadnieniu zniekształcono treść jednej z recenzji, dokonując błędnego tłumaczenia jej fragmentu, i potraktowano tak spreparowane stwierdzenie jako poważny argument (i to recenzentów!). Komisja Odwoławcza Rady NCN w pełni zaaprobowała ten stan rzecz a Dyrektor (obecny) NCN, poinformowany o błędnym użyciu rzeczony recenzji, odpowiedział, że nie stwierdzono żadnej nieprawidłowości.

W związku ze skargą do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego NCN ujawniło nieco więcej szczegółów, np. to, że jeden z wniosków został oceniony bardzo wysoko w II etapie i przesunięty na miejsce kwalifikujące do uzyskania grantu. Ciekawostka polega na tym, że punktacja tego wniosku została podniesiona. Punktacja ta to średnia z tzw. oceny minimalnej i maksymalnej. Ostateczna ocena maksymalna wzrosła o 1/3 w porównaniu z oceną z I etapu (z 72 punktów do 95), ocena minimalna okazała się o 2 punkty wyższa od oceny w I etapie. W rezultacie projekt znalazł się na drugim miejscu (wcześniej był na piątym). Dziwnym trafem ten projekt i trzeci w rankingu uzyskały identyczną wartość maksymalną (95,45), nawet wyższą od projektu, który zajął pierwsze miejsce. Projekt filozoficzny spadł na piąte miejsce po II etapie – był na trzecim miejscu po I etapie. Projekt bioarcheologiczny, drugi po I etapie, znalazł się na miejscu czwartym (pierwszym niepremiowanym). Zakwalifikowane zostały: projekt psychologiczny, z historii starożytnej i archeologiczny (śródziemnomorski). Preferencje zespołu ekspertów w dziedzinie klasycznej humanistyki są aż nadto widoczne. Może tak właśnie przedstawiała się rzeczywista wartość projektów, aczkolwiek wcale nie wynika to z dostępnych materiałów. W piśmie do sądu NCN stwierdziło, że nie może ujawnić recenzji i sposobu ocenienia innych wniosków, ponieważ mogłoby to naruszyć zasady zwalczania nieuczciwej konkurencji. Moja konkluzja jest taka: praktyki NCN nie służą kształtowaniu wzajemnego zaufania w środowisku naukowym. I jako prawdziwe kuriozum przytoczę wypowiedź Dyrektora NCN na temat protestów (manifestacji) młodych naukowców, sprzeciwiających się obniżeniu wynagrodzeń z tytułu realizacji grantów. Uznał to za przejaw lewactwa.

Uwagi te zostały spisane po prawie dwóch miesiącach od debaty w Tomaszowicach. Zamierzenia nowej władzy wobec środowiska naukowego nie są znane. Nie można być nadmiernym optymistą, a raczej wręcz przeciwnie. Tzw. „wykształciuchy”, w tym naukowcy, są solą w oku obecnie rządzących, nie należy więc od tych ostatnich oczekiwać nadmiernej zyczliwości wobec środowiska akademickiego. Na razie wiadomo, że ma nastąpić jakowaś konsolidacja uczelni, aczkolwiek nie jest jasne, co ma to oznaczać. Minister J. Gowin zapowiada, że trzeba reformować szkolnictwo wyższe i że będzie to bolesne. Fundusze? Ograniczenie autonomii uczelni? Pierwsze plotki głoszą, że obniżone będą wynagrodzenia w uczelniach publicznych. Z drugiej strony obiecuje, że uczelnie uzyskają więcej wolności. Pytanie tylko – jakiej, bo niewykluczone, że będzie to wolność polegająca na uświadomionej konieczności wedle zasady: „macie pełną wolność pozyskiwania pieniędzy, które musicie sami znaleźć, ponieważ my wam nie damy”. Tak czy inaczej, wiele wskazuje, że naukę polską czeka trudny okres, być może nie tylko pod względem finansowym.